



cin.org.pl

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

193
14

DZIEŃ

ZADUSZNY.

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydaniu przez Komitet przepisanej liczby egzemplarzy.

POEMAT.

w Warszawie dnia 6 (18) Lipca 1857 r.

Stary Cenzor Sobieszczyński.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

W DRUKARNI ALEXANDRA GINS. N. 755.

1857.

DNIEN



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

w Warszawie dnia 6 (18) Lipca 1857 r.

Starszy Cenzor, *Sobieszczański*.

INSTITUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Piłsudskiego 21
Tel. 22-68-63

WARSZAWA

W DRUKARNI ALEXANDRA GIERA N. 232

1857

4403

<http://rcin.org.pl>

W jesienną noc, w gęstym lesie,
Zbłądził rycerz dziarski, młody,
Stęp rumaka echo niesie,
Ryczą wiatry, szumią wody,
On sam jeden, bez opieki,
Bez przewodnika pomocy,
Cel gdzie dążył, zbyt daleki;
Przykra droga pośród nocy.
Koń się i zżyma — i pieni,
Szybkim postępując krokiem,
A od wezbranych strumieni,
Wody ścielą się potokiem,
Niebotyczne sosny, dęby,
U nóg twoich są rycerzu,
Błyskawic, piorunów kłęby,
Przeglądają się w pancerzu.

Czasem tylko wiatr zawyje;
Lub lasu mieszkańiec dziki,
Strachem przechodnia okryje,
Łącząc z burzą swe okrzyki.
On dziś panem, — w jego mocy
Męstwo, odwaga młodziana,
Potężny, srogi, — bo w nocy
W nikim nieuznaje pana.
Oko strzelca go niezoczy,
Ani niedosięgną strzały,
Sam mu śmiałek stanie w noczy,
By stoczyć walkę zuchwały.
W rycerskiej drżało osobie
Serce, gdy natura cała,
Podwładne żywiły sobie,
Do wspólnej walki wyzwala.
Sów, puszczyków śpiew złowrogi,
Urąga się młodzianowi,
A dzik wzrokiem pośród drogi,
Śle pociski rycerzowi.
Rzucił okiem po wsze strony,
Pot strudzenia płynął z skroni;
Przygotowan do obrony,
Niewypuszczał łuku z dłoni.
Żywiły się pojednały,
Błękitne niebios sklepienie,

I cząstkę lasu olśniali,
Srebrne księżycy promienie
Za świetnym blaskiem miesiąca,
W powolnym mierząc las kroku,
Oko się jego zamąca,
W cudnym przyrody widoku.
W około siebie spoziera,
Czyby nieznałazł schronienia;
Tęsknota serce pożera
I nowe rodzi cierpienia.
Minęły cztery poranki,
Niewidział rodzinnej chatki,
Niewidział oczu kochanki,
Nieczuł uściśnienia matki.
Wieku młodości! wieku złoty!
Każden szczęśliw w twoim bycie,
Kochanka, matka, — dwie istoty
Stanowią dzś twoje życie;
A mając czyste sumienie,
W patryarchalnej miłości,
Ziemskiej pielgrzymki pędzenie,
W młodem sercu twojem gości.
W marzeniu radby pozostać,
Usnąć na nadziei łonie;
Wtém — spostrzega jakąś postać:
Serce mu radością plonie.

Bo już nie sam, jest istota,
Co równy los z nim podziela ;
Kto ona? może sierota,
Bez opieki, bez przyjaciela.
Splot kruczych włosów, na łonie
Przecudnej śnieżnej białości,
Jak listek — gdy wiatr zawionie,
Suwa się bez zalotności.
Oczom własnym niedowierza ;
Może to nadziejska postać,
Dla ocalenia rycerza,
Opiekunką ma mu zostać.
Wchodzi za krokiem dziewicy,
Do groty, którą świerk słoni ;
Przed obrazem Boga-Rodzicy,
Kłęczy z krucyfixem w dłoni.
Wyńdź nieznany, jaką siłą
Nachodzisz moje schronienie,
Co cię tutaj sprowadziło,
Podwajać mi udęczenie.
Wyńdź natychmiast, — gdyż te ściany,
Bóg z swém dziecięciem zajmuje,
Niechaj twój uśmiech nieznany,
Spokoju mi nie truje.
Nic ci nie dam, jestem biedna,
Ni jałmużny, ni przytulku ;

Opuszczona, sama jedna,
W nieznanym lasów zaułku,
Chciałbym dociec tajemnicy,
Która ciebie przymusiła,
Przybrać szatę pustelnicy.
Jakaż godzina wybiła,
Dla ciebie na tym tu świecie,
By wśród powabów świetności,
W samym życia swego kwiecie,
Zaprzedać się samotności.
Co tu robisz opuszczona,
Pośród lasów sama jedna,
O istoto słaba, biedna!
Na pastwę zwierząt wrzucona.
Twój los szczerze mnie zajmuję;
Surowém nie darz mnie głosem,
Ja ci przed Bogiem ślubuję,
Od dziś zająć się twem losem.
Wprzód, nim wyjawię powody,
Na silne twoje wezwanie,
Dla czego wiek mój, tak młody,
Wśród lasów obrał mieszkanie;
Zajął znane ci pustkowie,
Które przypadkiem odkryłeś,
Niech mi twe serce odpowie,
Coś za jeden? z kąd przybyłeś?

Ochrzcono mnie Waldemarem,
Rycerskiego'm pochodzenia;
A pod téj zbroi ciężarem,
Prócz honoru i sumienia,
Serca, bliźniego miłości,
Żadnych darów nieposiadam;
W dowód, w Boskiej przytomności,
Przysięę ci na to składam.
W towarzyszy swoich gronie,
Na lowy zwierza przybyłem,
Wśród burzy, w nieznanéj stronie,
Z właściwéj drogi zbłądziłem.

O istota słaba, biedna!
Na pastwę zwierząt wznosona.
Twój los szczerze mnie zajmuje;
Szorowém nie daj mi niegrosem,
Ja ci przed Bogiem składuję.
Od dajis zjadę się twem losem.
Wpróż po raz szesnasty wiosną,

Ozdabia ziemię kwiatami,
I zima, siostrą zazdrosną,
Oslania śniegu płatami.
Szesnasty raz widzę kłosa,
Od mojego urodzenia,
Co pod zwinnym ostrzem kosy,
Dla naszego pożywienia,

Zniwarzom się do nóg ścieła, W
Już szesnasty raz pokrywa, W
Mogilę zima swą biela, Niechaj
Pod którą matka spoczywa. Jak
Od szesnastu lat Sabina, w
Głosu matki niesłyszała; Rzuc
A może była godzina, Nim
Gdym téj radości doznała: Trze
Ale będąc niemowlęciem, W
Nierozumiałam pieśczoły, Gdzie
Nieczułam będąc dziecięciem, W
Jak okropny los sieroty: Weso
Lecz dziś, w tak dotkliwym stanie; W
Od rodziny opuszczona, Ach!
Słyszę méj matki wołanie: To
Sabino! tyś pokrzywdzona: Kie
Od tego, com go kochała, I
Com dlań życie swe święciła, B
Miłość, serce zaprzedała, To
Rodzinną strzechę rzuciła, Po
Skalał swe serce podłością, I
Niegodne dźwigać pancerza, W
Wzgardziwszy czystą miłością, To
Zniesławił honor rycerza. Ex
Czekaj chwilę, niech ochłonie, Z
Serce z żalu i boleści, Szuka

W którym ogień zemsty płonie,
W którym zazdrość jad swój mieści,
Niechaj rzewnych łez strumienie,
Jak rosa, lub deszczyk złoty,
Złagodzą w części cierpienie,
Rzuconej w przepaść sieroty.
Nim skończyłam lat piętnaście,
Przebywałam z mym rodzicem
W wiosce, ztąd mil kilkanaście,
Gdzie sam jeden był dziedzicem.
W pierwiastkowej życia wiosnie,
Wesoło młodość pędziłam,
Wiek dziecinny spełzi radośnie;
Ach! jakże szczęśliwą byłam.
To wśród wietrzyka powiewu,
Kłęcząc na mogile matki;
Lub słuchając ptasząt śpiewu,
Sadziłam na grobie kwiatki.
To z wieku rówiennicami,
Po górach, lasach hasałam,
Lub pod wieczór, z jagodami
W dom rodzicielski wracałam.
To po niebieskim sklepieniu,
Łzą zwilżonemi oczami,
Z czystą myślą, w uniesieniu,
Szukałam między gwiazdami;

Gwiazdki mojej, — bo w istocie,
Trudno walczyć na tym świecie,
Z upartym losem sierocie,
Do tego słabiej kobiecie.
Kiedym w lata dojrzewała,
Pędząc życie w samotności,
Bywało, — żem pomyślała,
O przyjaźni, o miłości.
Czując żywsze serca bicie,
Na czarno-okie spojrzenie,
Nie raz, mimo woli, skrycie,
W zamian przesłałam westchnienie.
Za westchnieniem słówek kilka,
Młodzieńcu się powiedziało ;
Tak za chwilą, biegła chwilka,
Aż w serduszku coś zatlało.
Od téj chwili serce moje,
Panem swój woli nie było,
Wciąż w niem smutek, niepokoje,
Pogodne czoło sępiło.
Mimowolne udręczenie,
Brak dziecinnój wesołości,
Dniem i nocą czeze marzenie,
O świetnym bycie przyszłości ;
Oto zajęcia Sabiny,
Te jój płochy myśli były,

Ach! czemuż jednéj godziny,
Do grobu ją nie wtrąciły.
Po dziś dzień bym szczęśliwa,
W matki méj objęciach była,
Bo ziemia, co ją pokrywa,
Córki by nie odrzuciła.
Razu, -- we wsi gdzie bawilam,
Bywał często Alfred młody,
Temu serce poświęciłam;
Zdawał się być wart nagrody.
Był miły, wart być kochany,
Każdy o nim dobrze głosił,
Rodem, mieniem, wszystkim znany,
Nad mną zawsze się unosił.
Chociaż to w Hetmańskim dworze,
Gościło dziennie na stole
Dosyć, nie jak ja, mój Boże!
Sierota, chude pachole.
Zawsze mawiał: mój aniele!
Ja nie mogę żyć bez ciebie,
Przyszłość nam się kwiatem ścieli,
Nieodrzucaj mnie od siebie.
Niech się miłość nasza złączy,
Niech się zjści me marzenie,
Niech kapłan węzłem połączy,
Oba serca w jedno tchnienie.

Gdy w obronie Sandomierza,
Rodzie chorągwią dowodził,
Zajadły Szwed nań uderza,
I sztyletem w pierś ugodził.
Śmiertelnym ciosem schyłona
Głowa, przed Alfredem staje,
A serce, w chwili — gdy kona,
Sabine jemu oddaje.
Stał nieraz w ojca obronie,
W przyjaźni niebył daleki,
Staruszek na jego łonie,
Na zawsze zawarł powieki.
Od téj chwili, przywiązanie,
Stało się mą powinnością;
Za współczucie, za staranie,
Odplacić chciałam miłością;
Za jedno jego wejrzenie,
Serce by wszystko oddało;
Ostatnie ojca westchnienie,
Na jego łonie skonało.
Z nim całe szczęście, usnute
W latach dziecinnéj miłości,
W dojrzałym wieku zatrute,
Jadem niktzemnej podłości.
Przeczułżeś starczé sędziwy?
Że córkę w samych lat kwieciej

Los nieprzewidziany, mściwy,
Tułać ją będzie po świecie.
Pomnę, — w majowy poranek,
Idąc na mogiłę matki,
Zamyślona snułam wianek,
Zbierając po drodze kwiatki.
Jak piękna natura cała
Była, gdy słońce wschodziło,
Łza radości zajaśniała;
Trochę lżej na sercu było,
Pomyślawszy o Alfredzie,
Jak on piękny, zajmujący,
Kiedy przed sobą szyk wiedzie,
Szyk bojowy, stałą lśniący,
Jak wspaniała jego postać,
W chwil tryumfu, laur zdobycia;
Chciałam jak najprędzej zostać,
Towarzystką jego życia.
Oko me niedówierzało,
Kto na grobie klęczy za mnie,
Poznawszy go, serce drżało;
Straszna chwila była dla mnie,
Co go tutaj sprowadziło?
Miłość, przyjaźń, czy poświęceniem,
Co mu czoło pochyliło,
Nad zinnym grobu kamieniem.

Oba serca w jedno tknięte.

Gdym go z nienacka zagadła
„Co tu robisz“ tém pytaniem;
Zemdłona'm na grób upadła,
Kiedy wyrzekł: — z pożegnaniem;
Wróciwszy do przytomności,
Alfred u nóg mych klęczący,
Błagając stałej miłości,
Wymyśla wyjazd naglący.
Korzysta zdrajca z pozoru,
Przymuszon, wzajem się smuci,
Żegna mnie słowem honoru,
Że za kilka dni powróci.
Ja dziecinna, uwierzyłam,
Dla czego? — bo'm go kochała,
Medal mu na pierś wrzuciłam,
Co'm od swój matki dostała.
Ten kawałek blaszki złoty,
Był skarbem nieocenionym,
Był majątkiem dla sieroty,
Po rodzicach zostawionym.
Za dni kilka — cóż się dzieje:
Alfred słowa nie dotrzymał,
Posel tylko wieści sieje,
Że pan jego, już otrzymał
Rękę bogatęj kobiety,
Która go dawno kochała;

Mnie rozkazuje — niestety, by
Abym o nim zapomniała.
Ot, — już koniec méj powieści.
Sądź, czy na prześladowanie,
Zasługuje stan niewieści,
Za swe ślepe przywiązanie.
Powiedz mi więc sam, co czeka:
Jaki los takiemu sprzyja:
Jaka kara dla człowieka,
Który niewinność zabija.
Czuję moeno boleść twoję,
Zawierz, że jest Sędzia w niebie,
Przyjm dziewico radę moję,
Pragnę uszczęśliwić ciebie.
Opuść te dzikie schronienia,
Chciój wspomnieć o swéj przyszłości,
Bóg troski w radość przemienia,
Rzuc smętne chwile przeszłości,
Próżne byłyby starania,
Rany serca się nie goją,
Mnie tu cion matki osłania,
Odrzucam opiekę twoją.
Ten tylko w stanie boleść mają skrócić,
To mi jedyną stanie się osłoda,
Kto medal matki zdola mi powrócić,
Dozgonna wdzięczność będzie dlań nagrodą.

A więc ja pierwszy, — słowo! — do widzenia;
Szukać go będę choć na krańcach świata,
Niczem podobne dla mnie utrudzenia,
Gdy tak sowita z twój strony zapłata.

3.

Wystąpcie duchy ciemności,
Potępione duchy nocy,
Żądam waszjej wiadomości,
Albo czartowskiej pomocy.
Zstąpcie do mnie, — wasza siła,
Może odkryć tajemnicę,
Którą wieczna mgła pokryła;
Prowadźcie mnie w okolicę,
Gdzie Alfred z żoną przebywa.
Niech go moje oko zoczy,
Niech krwią, która w nim przepływa,
Prawica moja się zbroczy.
Niechaj zemsty mojej żądza,
Zemsty, która serce pali,

Nikczemnemu śmierć sporządza,
Za pomocą giętkiej stali.
Co to znaczy? — niestłuchacie
Duchy! tego niepojmujecie,
Dla czegoż odmawiacie
Swój mocy, — cóż was wstrzymuje?
Zstąpcie, zstąpcie duchy nocy,
Czyż zamknięte piekiel wrota?
Że odmawiacie pomocy.
Co chcecie: życia, czy złota?
Kilkochwilowe miłczenie,
Pobudzać zaczęło trwogę;
W tém, jakiéjs osoby cienie,
Znienacka zaszły mu drogę.
Był to starzec, starzec siwy,
Z długą, jak śnieg brodą białą,
Zgarbiony wiekiem, sędziwy,
Z pogodą na czole stałą.
Ręce na krzyż założone,
Liście dębu wieńczyły skroń,
Oczy blasku pozbawione,
A zimna jak marmur dłoń,
Gałązkę palmy dzierżyła;
Z lśniacój zaś stali zasłona,
Poorane piersi kryła,
I wzniosłe starca ramiona.

Z ust pozbawionych rumieńca,
W których tkwił wyraz surowy,
Do zmieszanego młodzieńca,
Temi się odezwał słowy:
Stój śmiałku, co ci potrzeba?
Od kogo żądasz pomocy,
Skuteczniej jest wezwać nieba,
Niż czartowskiej szukać mocy.
O dziecie! dziecie szalone,
Roń nad sobą łyż boleści,
I wiedz, co niedoświadczone
Serce twoje, w sobie mieści.
Oto brak Boskiej bojaźni,
Sprawy, przeciw Jego woli;
To młodzieńcze ciebie drażni,
To młodzieńcze ciebie boli.
Wybacz ojczy że zbłądziłem,
Zbłądziwszy, potępiam siebie,
Wybacz że cię opuściłem,
„Ojczy nasz, któryś jest w niebiey”
Niech się Imię Twoje święci,
Nie gardź grzesznego pacierzem,
Niechaj utkwi mi w pamięci:
Że w nieszczęściu, Tyś puklerzem.
Teraz tobie nieznajomy,
Za naukę dzięki składam,

I pytam, czyś nieświadomy
Tajemnic, jakie posiadam.
Chciałem dopomóc Sabinie,
Nieszczęśliwej, opuszczonej
Od ojca, matki, dziecinie,
Przez nikczemnika zdradzonej.
By niedać wiedzieć o sobie,
Daleka od świata, skrycie,
Mieszka w tych lasach jak w grobie,
Pustelnicze wiodąc życie.
Osobą jej chciałem swoją,
Zmniejszyć obecne cierpienia,
Pogardziwszy radą moją,
Odepchnęła me życzenia.
Lecz nadzieję zostawiła,
I tą się me serce poi;
Powrócę jej co straciła;
Ufam naddziadów mych zbroi.
Nic nie złamie stałej woli,
Bowiem zemsta Waldemara,
Nigdy na to niepozwoli;
Żeby tak podła poczwara,
Kochanek, — zdrajca Sabiny,
Talizmanem dziś się pieścił,
Niedozwolę, ni godziny
Aby on jeszcze się mięścił,

W zbrodniczej Alfreda dłoni.
Pójdę, choć na krańce świata,
Serce moje go dogoni,
We mnie znajdzie swego kata.
Wraz z sercem wydrę pamiątki,
Jakie w chwili pożegnania,
Ostatnie puścizny szczątki,
Od kochanki wiernej dostał,
Wraz z wyrazem „do widzenia”,
Piękny dowód przywiązania:
Kiedy inną mężem został,
Życząc dawniej zapomnienia.
Osoba moja gotowa,
Iść po medal i do piekła,
Bowiem pamiętne mi słowa,
Jakie Sabina wyrzekła:

Ten tylko w stanie boleść mą skrócić,
To mi jedyną stanie się osłoda,
Kto medal matki zdoła mi powrócić,
Dozgonna wdzięczność będzie dlań nagrodą.

Raz więc jeszcze błagam ciebie,
Starcze zlituj się nademną,
I dopomóż w tej potrzebie,
Nieukrywaj nie przedemną.
Jeśli jakich wiadomości
Jesteś świadom o Alfredzie,

Znanym z czynów nikiemności,
Odpowiadaj; — niech powiedzie
Ręka twoja kroki moje;
By niebyły bez nagrody,
Przedsiębrane krwawe znoje.
Udziel pomoc, znieś przeszkody,
Daj rękę Waldemarowi,
Jeśli to jest w twoim stanie,
Pobłogosław zamiarowi;
Niewinnęj usłysz wołanie
Dziewicy, istnej sieroty,
W bezdenną przepaść rzuconęj,
Godnej współczucia istoty,
Ojca, matki pozbawionęj.
Jeżeli kiedy na świecie,
Miłość komu poświęcałeś,
Jeżeli miał żonę, dziecko,
Czyżby im pomódz niechciałeś?
Przypuśćmy, — niech ci się zdaje,
Że to twa córka dręczona,
Ojciec pomocy niedaje,
Gdy dziecko z tęsknoty kona.
Dosyć tego synu miły,
Usłuchaj co starzec powie:
Życzenia twe się zjściły,
Zawierz jego siwój głowie.

Znam Alfreda, — on niestety,
Nieszczęśliwy już nieżyje,
Ich ciała, (bo i kobiety
Co pojął) i darń nie kryje.
Ich to dusze potępione;
Groby ich przyjęć niechciały,
Wyrzuciły z swego łona,
Kości z ciałem skamieniały.
Spojrz tam prosto, — te wieżycy
Do zamku drogę wskazują,
A we wnętrzach ich, dziedzice,
Dniem i nocą pokutują.
Co to jutro? — dzień zaduszny,
Za zmarłych modlić się każe
Kościół święty, — bądź posłuszny
Uwagom jakie ci wskażę.
Trafiłeś w sam czas, — dziś trzeba,
Nim dwunastą kur zapieje,
Wprzód, nim księżyc zejdzie z nieba,
Nim szereg sów się rozśmieje,
Nim promień słońca wystąpi,
Nim jego blask się rozniesie,
Wprzód, nim noc dniowi ustąpi,
Ze snu ocknie się zwierz w lesie;
I puhaczy śpiew złowrogi,
Rozniesie się między skały,

Potrzeba, by zamku progi,
Twą osobę pożegnały.
Bowiem, gdy to wszystko minie,
Wtedy biada, biada tobie,
Światło ci z przed oczu zginie,
I ujrzysz się w zimnym grobie.
Kiedy przejdiesz most zwodzony,
„Modlitwa“ będzie twe hasło,
Do kaplicy z prawej strony
Wejdiesz, tam gdzie światło brzało.
Na to słowo wyrzeczone,
Otworzą się tobie wrota
Na łańcuchach zawieszone;
Usłyszysz płacz, — tam jest grota,
Gdzie umarli spoczywają;
Duchy dobre i złe wieszczą,
Tam się z grzechów oczyszczają
Ci, co Bogu winni jeszcze
Za grzechy swe się wypłacić,
Przez głód, ogień lub pragnienie.
Tam są ci, co mogli tracić
Cały byt i całe mienie,
Na hulanki, na zabawy,
Biednego nigdy nie wsparli,
Żalowali łyżki strawy,
I żebraka by odarli,

Dla intrygi, lub dla złota.
Tam na oczach wszystko staje,
Żal za grzechy i tęsknota,
Niegodziwe serce kraje.
Stanąwszy w rogu kaplicy,
Zobaczysz mirtowy wieniec,
Na skroni smukłej dziewicy;
Przy niej stojący młodzieniec,
Będzie dźwigał na swém łonie
To, co zowiesz talizmanem.
Niechże w chwili, twoje dłonie
Go nie dotkną, — bądźże panem
Serca, ani nawet moey
Niezawierzaj giętkiej stali,
Gdyż by cię nią duchy nocy,
W drobne szczątki posiekali.
Stój spokojnie, a gdy drużby
Od ołtarza już odejdą,
Gdy weselni, pośród służby,
Do krążganków bocznych przejdą,
Idź za niemi, — jednak w dali;
Powolnym, nie spiesznym krokiem;
Dopiero w godowej sali,
Ścigaj Alfreda swém okiem.
Lecz dopełnij swego dzieła,
Bowiem, kiedy kur zapieje,



Skutku chęć by twa niewziela,
Gdyż już Alfred skamienieje.
Ruszaj synu z smutną nocą,
Odważnie postępuj wszędzie,
Weź tę palmę, z jój pomocą,
Krok twój widzialnym niebędzie.
Odbierz talizman dzieciny,
Dorzucisz listek swój sławie,
Ja jestem ojcem Sabiny,
Ja cię synu błogosławię.
I w tem znikła starca postać;
Rycerz oczom niedowierza,
Nie chcąc dłużej w lesie zostać,
Z odwagą na zamek zmierza.

4.

Arab orlim bieży lotem,
Zdaje się że wiatr przegoni.
Uzda świetnym lśni się złotem,
A grzbiet, perski czaprak słońci.
Nozdrze konia ogniem pryska;
Zaledwie dotknie się ziemi,

Trafi w kamień, — iskra błyska,
Pod stopami stalowemi.
Niedoścignie oko Dźalmy,
Zdaje się gdyby skrzydlaty
Stał się od staruszka palmy,
Piękny arab jabłkowaty.
Ostroga bok konia pruje,
Aby prędzej ubiegł drogę;
Ten swą posoką farbuję,
Waldemara kształtną nogę.
Wiatr wesół igra z piórami,
Które szyszak ozdabiają,
Niemniej z czarnemi puklami,
Co z pod chelmu wyglądają.
Lśniący pancerz barki słoni,
Z zdobną oprawą kołczana,
A wyprężony łuk w dłoni,
Nie ulęknie się szatana.
Większą część już ubiegł drogi,
Przebył góry, las, strumienie,
Skalistych przepaści progi,
Dzikiego zwierza schronienie.
Gdzież szczyt zamku i kaplicy,
W którym potępione dusze
I Alfreda i dziewicy,
Piekielne cierpią katusze?

Niewiem nic, gdzie ta poczwara
Ma do swoich siedlisk wejście?
Może to na Waldemara
Utassowane podejście.
Lada chwila ogień błysnie,
Jeśli mnie kto na cel bierze,
Jedno mgnienie, kula świsnie,
Dojdzie serca przez pancerze.
Precz złe myśli, — mam nadzieję,
Że niedam ukrzywdzić sobie,
Że me serce się rozśmieje,
Jeszcze na Alfreda grobie.
Że stanąwszy prosto w oczy,
Wyrzeknę doń: witam ciebie,
Krew rywala dłoń mą zbroczy,
Kiedy w sercu ostrz zagrzebie.
A jeżeli starca mowa,
I przed chwilą wyrzeczone
Jego rady, jego słowa,
Nie są fałszem osłonięte;
Zabawną będzie rozprawa:
Pytam — kto kogo przemoże,
Czy martwa jego postawa,
Kropelkę krwi mieścić może.
Bawiąc się temi myślami,
Gdy jad zemsty w żyłach krążył,

Spostrzegł się między murami
Zamku, do którego dążył,
Na wyniosłej wyspie stoi,
W okrąg wodą otoczony,
A tę, massa dębów stroi;
Doń prowadzi most zwodzony.
Całe czarne, mehem zarosłe
Najeżone ich wieżyce,
Nieznany zieleń zarosłe,
Dawniej warowni strzelnice.
Z nierównych skał ułożona,
Nagością swoją przestrasza;
Przepaść okiem niezmierzona,
Grobów milczenie ogłasza;
Młodzieńcu drogę wskazuje,
Najlżejsze konia stąpanie,
Nieznane echo wtoruje.
Z otchłani dzikie westchnienie,
Na poziom się wydobywa,
Żądając ludzkiej pomocy;
I to jedynie przerywa,
Milczenie posępnej uocy.
Przebywszy takie przeszkody,
Spotyka przepaść w parowie,
Która pozbawiona wody,
Przedsionkiem piekła się zowie.

A nad nią, jest most zwodzony,
Oparty na skał odłamku,
Na łańcuchach zawieszony,
Prowadzi do wnętrza zamku.
Okna kratą osłonione,
Więzienny smutek malują,
Zewsząd światła pozbawione,
Przechodnia strachem przejmują.
On niezważa, idzie śmiało
Tam, gdzie mdlawe światło brzało,
Wiadomy mu sygnał dało,
I po chwili wnet zagasło.
Spełniły się starca słowa,
Waldemar już był w kaplicy;
Spełniła się zatem mowa
Staruszka, — ojca dziewicy.

5.

WALDEMAR.

Z kąd idą te dzikie głosy?
Dokąd płacz i te jęczenia
Echo niesie....

GŁOSY.
..... pod niebiosy;
Grzeszników to są westchnienia.

WALDEMAR.
Dla czegoż w tak późnej porze,
Sny im powiek nie zawarli:
O co modlą się w pokorze?

GŁOSY.
O zbawienie, — to umarli.

WALDEMAR.
Cóż za dzień tyle posłuszny,
Na smętne grzeszników pienia?

GŁOSY.
Dzień modlitwy, dzień zaduszny,
Dziś pewniejsi wybawienia.

WALDEMAR.
Za co takie męki znoszą,
Czemże Boga obrazili?

GŁOSY.
Napawając się roskoszą,
Duszę grzechem obciążyli.

WALDEMAR.
Cóż więc oni są zajedni?

Panowie, czyli też słudzy,
Czy bogaci, albo biedni?

GŁOSY.

Są tam i pierwsi i drudzy.

Są panowie, — co skrzywdzali

Niewinne wdowy, sieroty,

Pracę ojców wydzierali,

Zaparli się przodków enoty,

Przodków wiary, ich imienia;

Od praw Boskich odstępili,

Niepamiętni na brzemienia

Nieszczęść, jakie wyrządzili.

Słudzy, razem przyjaciele,

Którzy majątkiem władali;

A takich jest bardzo wiele,

Co na cudzy grosz dybali.

Niewiernemi panom byli,

Na celu korzyść swą mieli,

Z groszem wspólnie się dzielili,

Jeden dali, a trzy wzięli.

Walczy bogacz z niedostatkiem,

Sławny z dawnéj rozrzutności.

Waldemarze! jesteś świadkiem,
Ziemskich bogactw znikomości.
Na co mu dziś skarby, złoto,
Gdy go wezwał śmierci goniec;
O! nędzna pycho, ciemnoto,
Jakże smętny jest twój koniec.
Ty bogaczu zubożały,
Zakałem ludzkości byłeś;
Czy wspomnienia pozostały.
Wdzięczne na ziemi, — że żyłeś?
Znajdziesz kogo — by po tobie
Choć jedną łezkę uronił;
Czy znajdziesz? — by na twym grobie,
Choć krzaczek twe kości słonił.
Jak zwierz pod murem skonałeś,
Bez pamięci, bez imienia;
Z ziemi do ziemi zostałeś
Wrzucon; — znikłeś bez wspomnienia.
Dalej znów starzec sędziwy,
Zamiast praojców przykładem,
Być pobożny, być cnotliwy,
On zepsucia stapał śladem.
Zamiast wielbić swego Pana,
W Jego chwale, w Jego mocy,
On na rozrywkach od rana,
Spędzał chwile aż do nocy,

Pośród wiwatów okrzyku,
Pośród młodych dziewic wdzięku,
Lub przy zielonym stoliku,
Podsluchiwał złota dźwięku.
Młodzian z oczmi zagasłemi;
Lica mu się wykrzywiły,
Będąc dawniej zbyt kraśnemi,
Do grobu go wprowadziły.
Źle młodość swą przepędziłeś;
Przez namiętności pożercze,
Niedawno w kolebce byłeś,
A dziś robak ciało depcze.
W tém czarowném dziewic gronie,
Jak szybka zmiana nastąpiła:
Wprzód miłość gościła w łonie,
Dziś żmija gniazdo usłała.
Cóż znaczy piękność na świecie?
Jest to natury igraszka;
Lekkomyślni! — wy powiecie:
Piękność wszyskiem, — cnota fraszka.
Teraz przypatrzcie się właśnie,
Co się z tą pięknością stało:
Gdy iskra życia zagaśnie,
Cóż zostanie? — szpetne ciało.

6.
Dwunasta na wieży bije,
W zamku życie się zaczyna,
Po wszystkich punktach się wiję,
Galonowana drużyna.
Światła w oknach zabłyszczały,
Tysiącem farbnych promieni,
Sale blaskiem zajaśniały,
Od złota, drogich kamieni.
Księżyc wyszedłszy z za chmury,
Rozprysnął światło niestałe,
Na te starożytne mury,
Dawnym istnieniem zgrzybiałe.
Jak w zwierciadle, tak kaskada
Odbija światło księżyca ;
Z przeraźliwym hukiem wpada,
I straszną przepaść nasycza
Srebrnemi swemi kroplami,
A jój odgłos, w dzikim lesie,
W dolinach, między skałami,
Echo co raz dalej niesie ;
Co raz dalej, — wreszcie ginie
Daleko, w świata przestworze,
Gwiazd i księżyca dziedzinie,
Tam — gdzie ranné wstają zorze;

Gdzie niezliczone są światy,
Wyżej, wyżej nad obłoki,
Tam, — gdzie nawet zwierz skrzydlaty,
Nie śmie sunąć lotne kroki.
Na zardzewiałej zawiasie
Wsparte żelazne podwoje,
Przy nadzwyczajnym chałasie,
Wnet rozwarły się na dwoje.
Wstrzęsły się świątyni filary,
Dzwony same przez się brzmiały,
A podkościelne pieczary,
Ciężkie echa powtarzały.
Myślałbyś -- że piekiel wrota
Przyjęły cię w swoje łona,
Myślałbyś, — że zmarłych grota
Brzemieniem grzechów ciśniona,
Kamienne mury zwałała,
Na grzeszne serca mieszkańców,
Ażeby niewypuściła,
Żadnego ze swoich brańców.
Przez gotyckich szyb szczeliny,
Nie ujrysz dziennego blasku;
Pająk tam nie pajęczyny
Zasłał, by uniknąć brzaśku,
Z wschodzącej dziennej jutrzeńki,
Różnobarwnym jej promieniom,

By niesłyszeć, kiedy dzięki
Podobne anielskim pieniom,
Pod niebiosy ślą ptaszęta:
Nie widzieć, — kiedy dziecina
Przechodząc, drobne rączęta
Z pokorą przed krzyżem zgina.
Zjawił się i stróż kościoła;
Pośmiertna (istna tułacza)
Postawa, — jak śnieg, dokoła
Broda lice mu otacza.
Włos na głowie srebrem lśniący,
Spada starcu na ramiona,
On tak słaby, ledwie tłący,
Zda się, że w tej chwili skona.
Klucze w ręku zabrzęczały,
I ten odgłos — echo goni:
Czarne mury zajaśniały,
Od światełka w starca dłoni.
Słabe się światło w kościele
Po raz pierwszy pokazało,
Oświeciło kapitele,
Gzyms, krużganek — i zniknęło,
I znów błysło; — znów na murze
Odbiło się w jakieś cienie;
Na ołtarzu, lub na chórze,
Zostawiwszy swe promienie.

I wnet kaplica wspaniała,
Poprzednio, pełna smętności,
Tysiącem światel jaśniała,
Po swój grobowej ciemności.
Jakież prędkie odrodzenie,
Na wygnaniu tém spoczęło:
Czarnoksięskiej li skinienie
Rószczki, górę tutaj wzięło?
Czarne mury, w nowe szaty
Uroczyście się przybrały;
Gdzie chwasty i pleśń, — tam kwiaty,
Gdzie ciemność, — tam zajaśniały
Światła, jakby wschodzące
Nadobne lica jutrzeńki;
Gdzie pisk, — ptaszęta nucące
Pieśni poranne, przez dźwięki,
Zwiastowały swe mieszkanie;
A gdzie siedlisko cierpienia,
Tam harmonijne strón drganie,
Tam anielskich chórów pienia.
Nowożeńcy przystąpili
Do ołtarza, — wspólnej miłości
Wyznanie, objawili
Przed tłumem zebranych gości.
Sumienie — świadek — na czele
Zastępuje drogę zdrajcy,

I występki, zbrodnie, ściele
 Przed oczami winowajcy.
 Ubóstwo, niemoc, cierpienia,
 Przez czas, niepamięć zagoi;
 Wyrzut własnego sumienia,
 Wiecznie ranę w sercu gnoi.

2.
 Już pusto, głucho w kościele,
 Ciemności znowu się tłoczą;
 Natomiast w zamku, kapele
 Brzmią wesoło i ochoczo.
 Tam czarowny głosik śpiewa,
 Dalej szatan złotem wstrząsa,
 Bo wygranęj się spodziewa;
 A tam w głębi tancerz płaszczy,
 Tamten płacze, ten się śmieje,
 Każdy szuka wesołości,
 Albowiem jak kur zapieje,
 Wszyscy wrócą do ciemności;
 Do ciemności, z której wyszli,
 Wyjaśnić trzeba przyczynę,

Po co wszyscy tutaj przyszli,
Na czas krótki, — na godzinę.
Przez pięćdziesiąt dwa tygodnie,
Do wspólnej zabawy spieszą,
I dziś dopiero swobodnie,
Wspólnym widokiem się cieszą.
Przez cały rok rozłączeni,
Tęsknotę i boleść czują,
Dziś dopiero zgromadzeni,
Wszyscy razem biesiadują.
Tam brat, brata swego wita,
Tam przyjaciel, przyjaciela
Znajduje, i ciekaw — pyta:
O losy, — jakie podziela.
Ztąd te krzyki, ztąd ta wrzawa,
Śmiechy, płacz i narzekanie;
Spieszmy w zamek, nim zabawa
Skończy swoje panowanie.
Wszystkie sale oświecone
Jarzącemi lampionami,
A pająki najeżone
Olbrzymiemi świecznikami,
W jasnych zwierciadłach odbite,
Stanowią obraz uroczy;
Idealne, nieprzebyte
Komnaty, stawiają ci w oczy.

Dziś — tve gościu nieproszony,
Serce, z tryumfu się śmieje;
Strzeż się nie być zwyciężony,
Przypatrz, — co się w zamku dzieje.
Na wstęp, — chóry śpiewające,
Wabią przychodnią głosami:
Tam dziewice czarujące,
Nęca cię swemi wdziękami.
Spojrz, jak ten się do cię śmieje,
Puchar z trunkiem w ręku trzyma,
Ledwie się na nogach chwieje,
Niepopuści, — jeszcze zżyma,
Jeszcze nim się bawi, pieści,
Nieśmié go wypuścić z dłoni,
Widzi w nim balsam — co mieści
Radość, za którą on goni.
Dalej jeszcze, odgłos kości,
Wielbicieli gry sprowadza.
Tam żądza zysku, cheiwości,
Do upadku doprowadza.
Szatan czczem złotem szafuje,
Nawet i z przegranej szydzi,
Ono go nie niekosztuje;
Osobistą korzyść widzi.
W chwili, gdy gracz się zapala
W grze, o wszystkiém zapomina,

Nasamprzód wygrać pozwala, —
Później nań parol zagina.
Fortuna (mówi, kapryśna,
Długo szuka ulubieńca,
Fortuna (mówi) przemyślna,
Pragnie doświadczyć młodzieńca:
Ale z kądże Waldemara
Pogodne czoło się chmurzy,
Toż to szatan, — on poczwara,
On go marnem złotem durzy,
Wszystko przegrał, pozostaje
Jedna palma, którą dostał
Od staruszka; — tę oddaje
Na los rzutu, aby został
Odegranym w tém co trwoni,
Los go ściga bez litości,
Los go nienawistny goni,
Ostatni raz bierze kości;
Rzuca: trzy — pięć — sześć, — czternaście,
Pewny że już się odgrywa:
Szatan rzucił siedmnaście,
I palmę rycerz przegrywa.
Godzina wkrótce wybije;
Młodzian z rozpaczy się chwije,
Alfred tylko chwilę żyje,
I za chwilę skamienieje;

On mu medal wydrżec musi.
Niema palmy, — cöz powiecie :
Szatan się śmieje — i kusi,
Stawię palmę, ty staw życie.
Waldemar na to przystaje ;
Lecz biada, życie przegrywa-
Szatan wspaniały, oddaje
Palmę, ale wydobywa
Czarny ceregraf z kieszeni,
I do podpisu gotuje ;
Waldemar z złości się pieni,
I krwią własną podpisuje,
Spełniło się, — zajęczały
Mury, z żalu i boleści,
Czyste dusze zapłakały,
Że więcej jedna się mieści
W ochydnym ręku szatana ;
Gdzie boleść, gdzie wieczna trwoga,
Cała jój przyszłość ztargana,
Nigdy nieobejrzy Boga.
W jednej chwili — cöz się dzieje :
Surowe oko spoziera
Na młodzieńca, — ten truchleje ;
A starzec siłą wydziera
Ceregraf z ręki szatana
I rycerzowi oddaje :

Szukaj mój córki tyrana,
On w twój mocy pozostaje.
Wyrzekłszy, — po chwili znika:
Z radości młodzian się śmieje,
Medalionu się dotyka,
Gdy przeciwnik kamienieje.
Popółnocna gwiazda błysła,
Za nią kur raz się odzywa,
Alfredowi krwa łza trysła,
Gdy Waldemar medal zrywa.
Już go dźrzy w swojej dłoni,
Jak niemowlęciem się pieści,
Jak dziecię od wiatru słoni,
I pod sercem go swém mieści.
Za chwilę światła zagasną,
Opuszczaj te smętne progi,
Bo jak się wrota zatrzasną,
Nieznajdziesz do wyjścia drogi.
Zdążaj, gdzie cię serce wzywa,
Gdzie powinność nakazuje;
Zdążaj, gdzie kochanka tkliwa,
Ztęskniona cię oczekuje.

Koń na oślepie jezdca nieście,
Instynktu tylko się trzyma,
Przesadza parowy w lesie,
Rży — parska — pieni — nadyma;
I kiedy już dobiegł drogi,
Pod stopami jezdca pada.
Wypadek ten, los złowrogi,
Rycerzowi przepowiada.
Wewnętrzne wzruszenie kryje,
Do groty wbiega jak strzała,
Sabina śpi, — czy nieżyje?
Nieżyje; — ona skołała.
Zmarłą w objęcia porywa,
Dłoń własną na sercu składa:
Zimne, — sztyletem przeszywa
Własne, -- i martwy upada. —

Minęły lata, minęły wieki,
Czas wszystko ukrył przed nami;

Nieraz podróżny daleki,
Usiadł pod dwiema lipami.
A niezglębiając przyczyny,
Smętną z podań piosnkę śpiewa:
Z Waldemara i Sabiny
Serca, — wyrosły te drzewa.

Do grozy wbiega jak strzela,
Sabina śpiąc, ożyła,
Nieżyż toż, toż, toż, toż,
Zmarła w...
Dłoń...
Zimne...
Własne...
Gdzie...
Zdaje...
Złaski...

Do grozy wbiega jak strzela,
Sabina śpiąc, ożyła,
Nieżyż toż, toż, toż, toż,
Zmarła w...
Dłoń...
Zimne...
Własne...
Gdzie...
Zdaje...
Złaski...

Minęły lata, minęły wieki,
Czas wszystko krzył przed nami;

Wszystkie części tego rodzaju
znaczący jest na badawę organów w Kościele
Mokotowski

5

Trzecia część dochodu ze sprzedaży tego poematu prze-
znaczoną jest na budowę organów w Kościele
Mokotowskim.

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org>